



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

SZCZESNA.

SONETY.

Ararat.

Wyżej, gdzie ludzka stopa nie postanie,
I ślady nikną lekkiej antylopy,
Ponad błyskawic promieniste snopy,
Wyżej i wyżej nad gromów trzaskanie.

Nad rozszalałych żywiołów wezbranie,
Nad niebotycznych gór śnieżne roztopy,
Ponad olbrzymich wód dzikie potopy,
Wyżej i wyżej nad straszne otchłanie —

Ratując twory mknie arka Noego,
Do portu swego w pogodnym błękitcie...
Wyżej, ach, wyżej! mknie ducha ludzkiego

Cudowna arka, przez śmierć, wieków wycie,
Przez walkę, ciemność, do celu swojego —
Unosząc skarb swój — nieśmiertelne życie!

Horeb.

Wśród dzikich wzgórz, na łonie przyrody,
Samotny, w przeczuć pograżony fali,
Na losy ludu swojego się żali
Biblijny pasterz, pasąc swoje trzody.

Cisza... szum palmy... lekki szelest wody,
Co z skał ucieka i dźwięczy w oddali,
Jehowa mówi... krzak cierni się pali
Ognistej mowy słucha pasterz młody.

Cud go nie dziwi. On pełen miłości
Pójdzie na wszystkie trudy i ofiary,
Wywalczyć przyszłość znękanego ludu...

Ach... jak to dawno! Nieszczęsna ludzkości!
Zgasiłś w sobie boski płomień wiary,
Bo już — miłości nie uznajesz cudu.

Synai.

Ach! co za luna na szczycie jaskrawa!
Tam prorok klęczy w cudownych widzeniach,
I w huku gromów, w błyskawic płomieniach
W granicie kreśli objawione prawa...

A u stóp góry krzyk, śmiechy i wrzawa,
Na ustawionych pośrodku kamieniach
Lśni złoty cielec; w bałwochwalczych pieniach
Lud mu się kłania: cześć ci, hołd i sława!

Prorok zstępuje, i pełen zgryzoty
Miota o skały boskie przykazania
I wrzącym skarży się do Boga gniewem...

Minęły wieki z idei powiewem —
Ha, ha! bałwanom ludzkość wciąż się kłania!
Ha, ha! bo wszystko przetrwał — cielec złoty!

Nebo.

I smutny usiadł na skalnej wyżynie,
I martwym patrzył już przed siebie wzrokiem,
Przeszedł przez morza, przeszedł przez pustynie,
Był słupem z ognia, Mojżeszem, Prorokiem!

A jednak teraz, w ostatniej godzinie,
Ujrzał cel, zdala tylko, za obłokiem...
Cudna kraina! Mlekiem, miodem płynie,
Żyzna, kwiecista, jak zasięgnąć okiem...

Ach! obiecana ziemio! Święty celu!
Dążąc ku tobie — giną pokolenia
W słodkim marzeniu pięknej Palestyny...

O, ideałów świecie! jakże wielu,
Przeszedłszy wrzącą pustynię cierpienia,
Tylko cię z ducha ogląda wyżyny.

POGAWĘDKA.

Jak zacząć ludzie gadać to zawsze coś wygadają.

Od dość dawnego czasu wszystkie niemal pisma nasze rozpisują się długo i szeroko o konieczności u nas wyższej szkoły technicznej, której potrzeba coraz bardziej czuć się dawała.

Nie spotykaliśmy prawie głosu, któryby ze stanowczym *velo* wystąpił, a jeżeli odzywały się zdania oględne, to tylko dla tego, że brak odpowiedniego funduszu stanowił niemały szkopuł w przeprowadzeniu do skutku tego dzieła doniosłości poważnej. Były także opinie niektórych rzeczoznawców, że nasamprzód potrzeba byłoby pomyśleć o szkołach technicznych niższych, po których założeniu dopiero i rozszerzonym ich działaniu, nie odrzucona, lecz odłożona tylko na czas pewien myśl o politechnice, kształty rzeczywiste przybrać powinna. — Bądź jak bądź, na końcu każdego projektu szarzały poważne mury przyszłej wszechtechnicy technicznej w Warszawie, a rozchodziło się tylko o to, czy w danej chwili, potrzebniejsza jest krajowi naszemu politechnika, czy szkoły niższe, przygotowywawcze.

Na tem jednak nie kończyły się rozprawy. Utarczka zdań, że szpalt dzienników przeszła na donioślejsze pole posiedzeń sekcji technicznej, gdzie wywiązała się żywa rozprawa o potrzebie politechniki w Warszawie. — Zebrane wiadomości w tej nieobojętnej dla ogółu naszego sprawy, podajemy czytelnikom naszym, a jakkolwiek „Bluszcz” jest pismem kobiecym, nie chcemy jednak, by tylko zadość czynił strojniszom, przepatrującym skwapliwie każdą tablicę sezonowymi upstrzoną modami, bo wiemy z długoletniego doświadczenia, że panie nasze nie tylko piórkami główki swe stroić umieją, nie tylko dbają o wygląd zewnętrzny, o upiększenie wdzięcznych swoich postaci, lecz je obchodzi także, jeżeli nie stokroć więcej, to na równi przynajmniej ze strojem — (a zatem nie byle jak obchodzi) — każda zmiana, jaka dokonywa się w społeczeństwie, każde drgnięcie jego naprzód, myśl każda, mogąca się w czyn zamienić i większy lub mniejszy pożytek mu przynieść. Czytelniczkami zresztą pisma naszego są matki rodzin, których obchodzi przyszłość ich synów, i to wszystko, co może być ich zabezpieczyć i rozszerzyć pole działania.

Na ostatniem tedy posiedzeniu technicznej sekcji warszawskiej, odbytem w dniu 12 Października, — głosy wszystkich członków omawiających sprawę z jakiegokolwiek bądź by wychodziły założenia, doszły do ostatecznego rezultatu, że — politechnika w Warszawie jest przedmiotem niezmierniej wagi, zaspokojeniem „niezbędnej, koniecznej i nagłej potrzeby.” Nie było żadnego protestu przeciw wypowiedzianym zdaniom, że założona w Warszawie wyższa szkoła techniczna nieobliczone korzyści przyniesie krajowi i Państwu, jako też wszystkim gałęziom przemysłu i wszystkim warstwom społeczeństwa, sięgając, aż do najskromniejszych i najniższych — warstw robotniczych. Wynikające stąd korzyści materialne i moralne nie mogły żadnemu uleść zaprzeczeniu. Wytworzy się, nie importowany już z zagranicy, zastęp kierowników zakładów przemysłowych, rozwiną się zaniedbane albo odłogiem leżące, niepotracone nawet, nowe zupełnie gałęzie przemysłu, a szereg ludzi wykształconych i obdarzonych wolą dobrą nie może pozostać bez wpływu na całe masy pomocników i skromniejszych towarzyszy pracy. — Dowody były przekonujące, głos żaden nie zabrzmiał, rzucający jakakolwiek bądź wątpliwość. Zrobiono tylko uwagę, czy nadmiar specjalistów nie pociągnie za sobą pewnych złych następstw, lecz obawę onej hyperprodukcji techników rozwił p. Mitte, przytoczeniem, „z referatu dyrektora szkół technicznych w całym Państwie” danych o „potrzebie techników wykwalifikowanych i wykształconych, we

wszystkich ministeriach, władzach i przedsiębiorstwach rządowych, oraz o ich braku tak wielkim, że tysiące posad techników, inżynierów, architektów, górników, chemików, nauczycieli i t. p. znajduje się w rękach ludzi niepowołanych.” Zwrócono też uwagę, że widoczny, a szybki postęp od rolnictwa ku przemysłowi w Państwie całym, który już nawet produkcję rolną przewyższa zaczyna, wymaga ludzi uzdolnionych, którzy mogliby z korzyścią na polu tem pracować. Raz jeszcze podniesione zostało pytanie, czy potrzebniejsza jest technika czy szkoły niższe, ale, pomiędzy głosami, przekonującym był głos p. Puciaty, który udowodnił, że szkoły niższe mogą z dobrym pożytkiem wtedy się tylko rozwijać, gdy nad nimi górować będzie i przewodniczyć zakład o wyższym zakresie, jakim tylko politechnika być może. Wymownym był też głos hr. Rzyszczyńskiego, aby „dla zapewnienia praktyki kształcącym się technikom w istniejących i utworzyć się mogących szkołach, utworzył się pod opieką Towarzystwa związek zakładów przemysłowych, któryby wychowawców tychże szkół przyjmował do swych prac podczas wakacyj, lub też po ukończeniu nauk.” Narady zakończyły się postanowieniem wybrania komisji, która by opracowała memoriał w sprawie potrzeby politechniki, oraz programu — dla przedstawienia Naczelnikowi kraju, tymczasem wybrano podkomisję, która na przyszłym zebraniu, komisji skład zaproponuje.

Takie wiadomości podały nam dzienniki, przedstawiając w ogólnych zarysach tylko przebieg rozpraw nad palącą sprawą założenia politechniki w Warszawie. Z marzeń tedy, przeszliśmy do rozpraw, z których, w niezbyt odległym czasie, czyn się wyłoni. Społeczeństwo zrozumie całą doniosłość tego zadania, a znana ofiarność jego — jeżeli tylko władze rządzące przychylią się ku ogólnemu żądaniu — nie pozwoli długo na siebie czekać.

Jakkolwiek kongres katolicki przed czasy niedawnymi w jednym z miast włoskich odbyty, rzucił piśmom katolickim niezbyt obszernie zajmować się sprawami teatralnymi, grzechu nie popełnimy, jeżeli zawadzimy raz jeszcze o te sprawy, które, u nas, pierwszorzędne prawie znaczenie mają, i nie mogą być pomijane, ani też traktowane zbyt lekko...

Tam, gdzie sztuka holduje niskim instynktom, gdzie niema na celu natchnień wyższych, zadań podnioslejszych nad zabawę tłumów tylko — można przejść po nad temi sprawami do porządku dziennego, lecz u nas — nie mających tingeltanglów, u nas, którzy się nie lubujemy zbyt muzu podkasana, teatr ma znaczenie pierwszorzędne obecnie, bo powinien i smak kształcić i pięknymi dźwiękami mowy ojczystej przemawiać do uczuć naszych i dać zdrową karm umysłowi.

Pięknie brzmią słowa p. Kazimierza Zalewskiego, który, mówiąc o różnych zakulisowych intrygach, chęciach i niechęciach, zwraca uwagę działwy Melpomeny, że „w murach teatru kończy się człowiek prywatny ze swoimi interesami i afektami, a zaczyna się służba publiczna. Ta solidarność koleżeńską jeden powinna tylko mieć cel i kierunek: „dobro sztuki, pieczę o stanowisko i godność polskiej sceny.” — Choćby *per aspera ale ad astra*. Zawsze na wyżyny, nie do upadku, nie do błota!”

Któżby się z temi pięknymi, a roznymi słowami nie zgodził?

Wspomina znakomity nasz komedypisarz i znawca sceny, że teatr nasz dramatyczny nie zawsze odpowiadał celowi, że nie konieczne rzeczy doskonale widzieliśmy na naszej scenie, co przypisywano reżyserowi teatru, choć, Bogiem, a prawdą, najlepsze chęci nieraz rozbijać się musiały o mur niemożności.

Na polu dramatopisarskiem jest pewien zastój nie tylko u nas. W takim Paryżu naprzykład, teatry dają przeważnie sztuki już dawniej grane, z powodu braku nowości, a jeśli nowości jaka pojawia się, to gustu publiczności niezadowolnia i po paru zaledwie przedstawieniach z repertuaru schodzi, ażeby starszemu miejsce odstąpić.

Oto wiązanka faktów, poczerpnięta z wiadomości z bruku paryskiego do nas doszłych.

A więc: p. Antoine otworzył swój „Teatr Wolny” dwiema starymi sztukami: „Blanchette” i „Boubouroche.” Ta ostatnia grana było niegdyś i u nas w Warszawie... Odeon z kilkoma nowościami wystąpił, które nie przypadły do smaku paryżanom, a jedna ze sztuk p. t. „Kajdany” małej liczbie krytyków podobała się tylko i to ze względu na myśli w niej zawarte, większość jednak była zdania, że nawet najpodnioslejsze myśli nie okupią kardynalnej wady, którą jest — nuda. — Teatr Renaissance wystawił melodramat amerykańskiego autora Gillette’a, w przeróbce dyrektora Decourcelle p. t. „Tajna policja.” Rzecz dzieje się podczas wojny między Stanami Północnymi, a Wschodnimi, szpiegdy wojskowi szpiegują się wzajemnie, a dwaj z nich kochają się w córce generała dowodzącego wojskami stanów Południowych. Komedya kończy się małżeństwem, widzowie radzi są, że się skończyła nareszcie. Wreszcie Teatr Porte Saint Martin wystąpił z nową sztuką historyczną znanego Pawła Déroulede’a p. t. „Śmierć Hoche’a,” nie mającą żadnych zalet scenicznych.

Jeżeli więc w tym Paryżu, który nie przestał na nas pewnego uroku wywierać, na którym wzorować się lubimy, do którego wdychamy; jeżeli w tym Paryżu, gdzie się znajduje Teatr Wolny w dosłownym i przenośnym znaczeniu — panowie dyrektorowie muszą się posilkować sztukami ogranami, bo wystawione nowości nie przekraczają pospolitości granic; — coż mówić o naszych Rozmaitościach, o naszej, twórczości, o zaczarowanym kole, z którego reżyser, mimo najlepszych chęci nieraz, wystąpić nie może. — Naszem jest zdaniem, że brać literacką, której na sercu leży dobro naszego, polskiego teatru, która nie może tłómaczyć się nieznajomością zakulisowych stosunków — powinna, — *sine ira et studio*, co godne nagany — zganić, pochwalić — co godne pochwały i ani urazami ani względami żadnymi nie powodując się, poprzeć usilnie dobre zamiary obecnego reżysera, któremu dobro sceny na sercu leży, któremu brak jednak trochę serdecznego poparcia, ze strony, choćby przyjaciół. Kończę rzecz swoją o teatrze przepięknymi słowami Zalewskiego: „choć *per aspera*, ale od astra. Zawsze na wyżyny, lecz nie do upadku, nie do błota!”

„Smutne jest położenie naszej braci literackiej, która byt swój zdobywać musi ciężką, codzienną pracą, żyjąc z dnia na dzień bez pewności jutra. Dopóki jeszcze zdrowie służy, energia w pracy nie jest wyczerpana, znośne warunki materialne dają możliwość choć czasowo patrzeć pogodniej na świat. Lecz gdy przyjdzie choroba, gdy ręka lub oczy odmówią posłuszeństwa, gdy w skutek ciężkich dramatów życiowych umysł ocieżeje lub zubożeje — wówczas położenie staje się coraz trudniejsze i często cała rodzina staje pod brzegiem przepaści. Brak jakiejkolwiek bądź organizacji i spójni, brak funduszu wspólnego, z którego w razach nagłych można by otrzymać pomoc, dotkliwie uczuwać się dawały, szczególnie dla pozostałych wdów i sierot po literatach.”

Temi samymi prawie słowami, co obecnie „Kurier Codzienny” mówiliśmy i my niejednokrotnie, bo znana dobrze nam była i jest dola tych pracowników pióra, którzy talentem swym nie kupczą, a na sztandarze mają napis wypisany: „excelsior!”

Otóż dowiadujemy się, że w celu zaradzenia tej niedoli, postanowiono opracować *Ustawę kas oszczędności zapomogowej dla literatów i dziennikarzy* i że postanowienie zamieniło się w czyn szybko, bo przed tygodniem ustawa taka opracowana została — i — po przedyskutowaniu, podpisana przez 31 przedstawicieli świata literackiego i dziennikarskiego, w dniu zaś 12 Października podana do zatwierdzenia J. O. ks. Imeretyńskiego. Na razie nie można wielkich rzeczy się spodziewać, lecz mamy niepłonną nadzieję, że ogół zainteresowany tą sprawą, zechce czynny udział w niej przyjąć.

Nie jestem przeciwnikiem postępu i cywilizacji, a jednak ta cywilizacja, ten postęp, zmie-

niając oblicze ziemi według jednej modły, zacierając charakterystyczne cechy, niektórych zakątków świata, które jeżeli nieciły wyobraźnię naszą, niewymownym czarem pociągały nas do siebie, to, dla tego jedynie, że pozostały nietknięte przez czas, i—przez ludzi.

Europa mniej ma obecnie siły przyciągającej, niż Wschód; najpiękniejsze parki lordów angielskich oddalibyśmy za jeden zakątek puszczy czarnego kontynentu, gdzie liany siecią nierozwiklaną oplatają drzewa pamiętające dni pierwsze stworzenia; gdzie las paproci tajemniczą głębią pociąga, gdzie, jak na przykład w niedostępnych borach meksykańskich, odnajdujemy jeszcze nieznanne, a potężne ślady zaginionej, bogatej cywilizacji ludów tam niegdyś zamieszkałych. Porzuciłbyś chętnie obramowane brzegi paryskiej Sekwany, dla szafiru fal nilowych; na kartce papieru rzuconych palm kilka, zagadkowa głowa Sfinksa, piramidy ginące w dali błękitnej, poruszają ci serce, pierś podnoszą, myśli każą o wieków czterdzieści nazad się cofnąć, zolbrzymieć ludziom i wypadkom. W grobach Faraonowych nie chcielibyśmy widzieć tancerek tingtangu, na płaskim piramid szczycie restauracji urządzonych, gdzieby lokaj w białych rękawiczkach podawał nam kotlet barani lub majonez z krokodyla nawet. Piramidy powinny pozostać wielkie w swym opuszczeniu, samotne w swej wielkości, stać w ciszy pustynnej, zmąconej czasami odwiedzinami wichru Sahary. A tymczasem...

Cywilizacja europejska przesiąka tak dalece Egipt dzisiejszy (czemu oczywiście nikt z rozsądnych przeciwnym być nie może)—że nie tylko z Kairu budują kolej żelazną do piramid prowadzącą, ale zębate koła lokomotywy na piramidy wejda.

Gdybym mógł tobym przeciw temu naruszeniu spokoju grobów faraonowych całą duszą protestował. Gwizd pary, turkot kół, gwar podróżnych, to wszystko razem wzięte, pozbawia smętnego uroku tych gór, ręką królów na pustynię rzuconych. Marzyciel, stojąc na szczycie grobowców faraonowych, nie będzie mógł w zupełnym ducha skupieniu w dalekiej, dalekiej przeszłości zatonać. Te szmery, gwary ludzi i pary odejmą pustynnej ciszy urok jej właściwy, a już na pewno sądzić można, że znajdzie się przedsiębiorca umiający z tych odwiedzin podróżnych skorzystać—i—w zrozumiałym, dla wszystkich języku, na czołe Cheopsa piramidy, wypisze napis:

„Restaurant!...”

Masz teraz, szukaj śladów Ramzesa, stóp Mojżesza, goń oczyma za szafirową nitką dalekiego Nilu, odtwarzaj prastare dzieje pełne grozy tragicznej, w pierś wchłaniaj powietrze pustyni, gdy tu powonienie twoje podrażni zapach przepalanej margaryny restauracyjnej.—Rozleniwiliśmy się straszliwie—i dla wygody poświęcamy wrażenia pełne poetycznego uroku. Prowadzeni przez beduina do piramid, czuliśmy dziwne, tajemnicze drżenie serca,—wiezieni przez lokomotywę, pozbawiamy sami siebie czaru, jaki daje cisza, pustynia i Arab.—Wieszcz nowożytny będzie mógł napisać:

Na szczycie piramidy przebyłem czas krótki,
Zjadłem kawał kielbasy, napilem się wódki...
Potem zrazy nelsonskie, podlane obficie
Sosem — jadłem to wszystko na piramid
[szczycie!]

O, Mumjel!... myślą biegnąc w oddalone czasy,
Pytam: zaliście kiedy znały smak kielbasy?
Roiliście-ż w snach waszych, że tu, gdzie
[kapłani]

Grzebali królów—będę jadł kotlet barani,
I, myśląc nad marnością dzieł ludzkich—nie!
[stety!]

Na piramidzie—spiję pilznera na wety!...—

Lecz głos mój kronikarski zginie bez echa,
a Sans-Souci, Wersaille lub inny napis piękny

z wywieszonym cennikiem herbaty, kawy, koniaku i t. d: szyldem wielkim z piramid zabłyśnie.

Zboczyliśmy na chwilę do Kairu, powróćmy teraz znowu na bruk warszawski i rozejrzyjmy się tu jeszcze trochę.

Zastraszającą jest rzeczą, to, rozpowszechniona w mieście naszym walka na noże klas robotniczych. Nie masz dnia prawie, ażeby do prospektoryum trupa nie przywieźli, lub lekarz wezwany nie stwierdził jakiejś rany śmiertelnej. Mówi się o tem dużo i pisze się dużo, a tymczasem zło rośnie w sposób przerażający. Pocucie etyczne, groza przed popełnieniem zbrodni, do krwi wstręt ludzki, zamierają coraz bardziej w tłumach i już nie potrzeba klótni szynkownianej, zamęcenia alkoholem zmysłów, ażeby nóż był w robocie.

Dużo może być wypadków z przyczyny wyżej podanej, niejednokrotnie zemsta w grę tu wchodzi, ale ot, czasem bywają wypadki, że uderzenie nożem, przybiera cechę jakiegoś złośliwego figla, równa się uderzeniu pięścią w plecy, lub pchnięciu zwyczajnemu. Zranić bliźniego, a nawet zabić—staje się już fraszką; jedna z największych zbrodni, bo—pozbawienie życia człowieka—dokonywa się z lekkim sercem, jakby to chodziło o wypłatanie figla koledze.

Z licznych faktów zabójstw podobnych, o których nam codziennie prawie dzienniki donoszą, czytaliśmy przed kilku dniami, że, na Lesznie, o godzinie siódmej wieczorem, uderzony został przez napastnika niewiadomego—węglarz pewien. O fakcie powyższym dowiedzieliśmy się zaraz po wypadku przez naocznego świadka, kilkunastuletniego chłopaka, który oniemiał ze zgrozy.

Rzecz się tak miała:

Chodnikiem szedł człowiek z worem węgla na plecach, poprzedzało go trzech robotników. Węglarz nie obszedł ich, lecz pomiędzy nich się wcisnął, a wciskając się, potrafił worem jednego, za co go ten obdarzył potężnym uderzeniem w plecy, tak, że człek obarczony ciężarem sporym, upadł na ziemię. W tej chwili drugi towarzysz napastnika dobył nóż, pochylił się i jakby to był żart sobie koleżeński, bok nieszczęśliwego przebił.—Po dokonanej zbrodni, rozbiegli się nicponie.

Zostanowiwszy się głębiej nad powodami dokonanego przestępstwa i nad sposobem wykonania morderczego czynu—dreszcz zgrozy nas przejmie. Czy ci ludzie mają pojęcie o Bogu, religii, sumieniu?... przez jaką szkołę życia przeszli, kto ich uczył i czy uczył pacierza? mówiono im kiedy o najprostszych, a koniecznych prawdach ewangelicznych?... Powtarzamy raz jeszcze—pleni się zło okrutne, które już nie w zarodzie wykorzenie potrzeba, bo wyrosło w chwast bujny, potrzebujący mocnego cięcia. I mimowoli w duchu swym powtarzamy: szkoła—ksiądz—kościół!...

Dzień 15-go Października był dniem prawdziwego święta dla dziatwy warszawskiego Parnasu. Były to imieniny Deotymy, wieszczki i jubilatki naszej, uroczystość jednak zaczęła się wigilią właściwego dnia imienin, z uderzeniem dopiero godziny dwunastej, czcigodnej jubilatce, goście liczni zebrani, zaczęli składać życzenia.

Hasło do uroczystości dał J. K. Jasiński odczytaniem swojego wiersza pełnego humoru i złożeniem pięknego wieńca od poetów, następnie odezwały się dźwięki poloneza, napisanego na cześć Deotymy przez p. Ignacego Kossobudzkiego.

Do napisania dziś poloneza, któryby się odznaczał świeżością pomysłu, potrzeba rzeczywistego talentu. Utwór p. Kossobudzkiego podolał trudnemu zadaniu, tony płynęły dzwieczne, jasne i nasze, powagi pełne i smutne, śpiewne a tęskne, tysiącem wspomnień o duszę potracające. Przy dobrym tortepianowym wtórze p. Witolda Kadlera, śpiewały skrzypce, a wiolonczela płakała. Na skrzypcach grał p. Gromski, na wiolonczeli panna Czesława Gromska, córka skrzypaka. Wykonanie pięknego poloneza było wspaniałe, to też wykonawcy wynagrodzeni zostali hucznymi oklaskami i serdecznym podzię-

kowaniem solenizantki. Polonez był powtarzany dwukrotnie, potem odczytany został wiersz Or-Oat, na cześć Deotymy napisany, a myśl podniosła utworu znanego poety i ferma śliczna wiersza, rzetelny zapal wzbudziły w dobranem towarzystwie salonu Jadwigi Łuszczewskiej. Następnie odezwały się skrzypce—to czar lał w serca wirtuoz stary p. Jelski. Ale koroną uroczystości było odczytanie przez samą jubilatkę ostatniej pieśni eposu, kończącego się wizją królewską w tumie S. Szczepana.

Uroczyste zapanowało milczenie—tylko serca bily, tylko dźwięki pieśni wspaniałej potężnymi rytmami rozechodziły się w ciszy.—Pamiętny był to dzień dla uczestników zebrania, śliczny dzień!...

??

KAZIMIERZ GLIŃSKI

WRÓCI!

POWIEŚĆ.

—*—

(Dalszy ciąg).

Jadwiga stała chwilę na poły zmieszana, jakby niepewna słów, które z ust Pawła wybiegły i dziwnie zabrzmiały w głębi jej duszy. Była w nich jakaś prośba, jakieś błaganie, coś, co może się spełnić—kiedyś. Dreszcz potrzęsął jej ciałem, na ręce swej czuła ciągle dotknięcie ust, w uszach szumiało a serce biło mocniej, jakby przez nie żywsza krwi fala płynęła. Wpatrzyła się przed siebie, spojrzenie w dal jakąś, posłała przymrużyła powieki i...

— Kiedyś!—szepnęła—

Nagle się wstrząsła, a oczy wypełniły się łzami.

— Nie, nigdy!—zawołała.

Krokiem chwiejnym poszła do swego pokoju i gdy mijała próg salonu, posłyszła za sobą raz jeszcze przyciszony głos Pawła:

— Kiedyś!...

Mimowoli odwróciła głowę i wzrok skierowała na miejsce gdzie stała przed chwilą. Postać Pawła zarysowała się raz jeszcze i znikła nagle.

Jadwiga dotknęła czoła—było gorące jak żar. Podbiegła szybko do biurka stojącego w sypialni, chwyciła w złoczone ramki oprawną fotografię Gustawa i przyciskając ją do ust i do serca, z jakąś namiętnością szepnęła:

— Nie—nie!... ty tylko, nikt—tylko ty!

Wpatrzyła się w postać na małej kartce odbitą, uśmiech miała na ustach a łzy strumieniem z oczu jej ciekły, spadały na pierś i wsiąkały w lekką materię sukni.

Z kartki małej patrzyła na rozplakaną dziewczynę dziarską postać mężczyzny. Młody był i piękny—płomiennymi oczyma w dal patrzył, twarz miała wyraz stanowczości i energii, w postaci całej malowała się siła męzka, która pioruny wyzywa, która pokonać się może lecz ugiąć—nigdy! Niewielka czapka barania pochylona na bakier, świta chłopka w biodrach paskiem rzeźmiennym ściśnięta, buty dochodzące do kolan, strzelba na plecach—licowały wybornie z postacią całą, coś rycerskiego mającą w sobie. Piękny wąs odsłaniał usta, które śmiały się do kogoś czy do czegoś, z czoła tryskała myśl niepowszednia, rozplamieniająca się do czynów wielkich, do snów od kolebki marzonych, niewyśnionych choć śnionych przez lata długie, przez pokolenie niejedno.

— Wracaj, wracaj!—szeptały usta Jadwigi... a oczy wpijały się w postać kochanka, jakby chciały zapamiętać rys każdy i na wieki w głębiach swoich zatrzymać.

Po chwili uspokoiła się, na miejsce dawne postawiła portret Gustawa a przechodząc do łóżka, mimowoli przez drzwi otwarte do salonu spojrzała. Nie zobaczyła już nic, tylko w uchu znowu szept zabrzmiął:

— Kiedys!...

Jakis przestrach ogarnął Jagwigę. Zakryła rękami oczy i chciała odtworzyć w pamięci postać ukochanego. Nie Gustaw jednak lecz Paweł stał wciąż przed nią.

Poraz pierwszy uczuła jakieś rozdwojenie się swojej istoty, jakąś nieznana dotąd uczuć walkę, zaciemnienie się czegoś, gwałt życia, które ją nęciło dniem dzisiejszym. Siła niezmierzona dotąd niczem pamięci zdawała się słabnąć w sposób okrutny, przeszłość odzywać się coraz ciszej i tonąć w przepaściach niezmiernych. Nie strach już lecz przerażenie ją ogarnęło, wyciągnęła ramiona do stojącej na biurku fotografii Gustawa i na kolana przed łóżkiem upadła, a tuląc twarz w pościeli, głośnym wybuchnęła płaczem...

— Boże!—szepnęła, po chwili do siebie przechodząc. Czy oddalenie i niewidzenie się przez lat kilka, najdroższe nawet rysy zacieraają w pamięci? czy serce się nuży tęsknotą, czy tak jest słaby duch ludzki, że go pociąga czar dni dzisiejszych, że zapomina o dawnych czarach?... A ty, Gustawie?—a ty?...

Równina śnieżna, pusta, o jasności kryształowej, straszna bezbrzeżnością i ciszą śmiertelną rozciągnęła się przed jej oczyma. Cienie nie cienie, mary nie mary, snuły się jedne za drugimi, pełne smutku i przynębienia, z oczyma zwróconymi na zachód. W sercu marzącej dziewczyny strach rośnie, pot zimny operla jej czoło, dech ciepły zamiera w piersi, nie czuje lez nawet lecz chłodne, małe grudki spadającego lodu... Duszą jest tam, gdzie śnieg pokrywa równiny, gdzie z gwiazdą melancholijną u czoła błądzi Anhellego kochanka.

— O wizyo!—szepnęła budząc się—dzięki ci, dzięki ci, wizyo okropna!...

Powstała—błada i drżąca, jakby po rozbudzeniu się ze snu ciężkiego, który jeszcze z powiek jej nie uleciał.

Janczewska była przy niej—

— Jadziuniu!—szepnęła.

— Czy dawno jesteś przy mnie, Marciu! — spytała Jadwiga.

Stara piastunka głową ruszyła.

— Znowu płakałaś, dziecino?...

— Tak—Marciu!

A po chwili rzekła:

— Czy rodzice już śpią?

— Śpią, Jadziu.

— A Oles?...

— Od dawna poszedł—

— Rozbierz mnie!...

— Aa!—zawołała uradowana piastunka,—pozwalasz dzisiaj, rozebrać siebie. To dobrze, dziecino moja—wielką mi przyjemność zrobiłaś, Jadziuniu!...

Zaczęła powoli rozbierać pieszczoszkę swoją z uśmiechem takiego zadowolenia na ustach, takiego szczęścia, że panna Jadwiga szpilki jednej nawet odpiąć już nie chciała, oddając się zupełnie w ręce starej Marci...

Lampka nocna płonęła w kącie pokoju, sen wszędzie rozpostarł panowanie swoje, wiatr tylko poruszał bezlistnymi drzew konarami i czasem, jak złodziej, za skrzydła okienic targał.

— Co za wicher okropny! — odezwała się Jadwiga.

— To nie zwykły wicher, Jadziuniu— — odpowiedziała Janczewska.—Dusze potępione, czasami smutne i żalące się, latają po świecie i drzewami kołyszą, w kominy pukają a nieraz patrzą przez okna.

— Co ty mówisz, Marciu?...

— To, co wiem, Jadziuniu, i co nieraz własnymi oczyma widziało się. Ot i dzisiaj naprzykład...

— Co dzisiaj?

— Powiedzieć?

— Mów, Marciu—mów!

— A nie nastraszyś się?...

— Bądź spokojna! — odpowiedziała Jadwiga z uśmiechem,—przecie niekoniecznie wierzę w to, w co ty wierzysz—

— A jak się widziało?

— No—słucham... słucham—

Jadwiga zgarnęła włosy, usiadła na łóżku, a stara nianka, stając przy niej tak mówiła:

— Państwo już zasnęli, Oleś poszedł, i ja myślała, że już nikogo w pokojach niema, a tym czasem ty, Jadziuniu i pan Paweł w salonie byli. Ja myślała, że lampa niezgaszona pali się, chciałam zgasić i przyjść do ciebie, ale w progu stanawszy o mało nie krzyknęłam ze strachu. Przy stoliku, który pomiędzy dwoma oknami stoi, rozmawiał z tobą pan Paweł. Co on tam mówił, nie wiem, ale mówił gorąco a ty byłaś jak różyczka zarumieniona, że aż dusza radowała się u mnie we środku. Patrzyła ja na was, nagle oczy zwróciła na szybę.

— I co?—spytała Jadwiga—

— Na krzyż święty przysięgnę, że powiem prawdę,—zaklęła się Janczewska.—Przez szybę patrzyło dwoje oczu, patrzyło prosto na ciebie, a taki płomień z nich wybiegał, że chciałam krzyknąć i nie mogłam... a oczy patrzyły, patrzyły i patrzyły!—

— Marciu! — skoczyła Jadwiga, tuląc się do ramienia piastunki.

— Widziało się serce moje—wyraźnie widziało się. Nie dostrzegło tylko twarzy ani żadnej osoby ale co widziało się, to widziało.

— Wydało ci się,—rzekła Jadwiga.

— Nie, Jadziu—na krzyż święty przysięgnę... nie!... Upiór patrzył!...

W tej chwili wiatr stuknął w okienicę, gałęzie drzew zaszumiały gwałtownie a w sali wyraźnie dało się słyszeć stapanie czyjeś...

— Jezus Marya! — szepnęła Jadwiga, kładąc na pierś znak krzyża...

Drgnęła i Janczewska, lecz więcej oswojona z duchami i widmami niż Jadwisia, chwyciła szybko lampkę stojącą w kącie na ziemi i do drzwi pobiegła...

— Niema nikogo—odezwała się,—ale coś chodzilo, patrz—jeszcze się chwilej serweta jakby kto przeszedł kogo stołu i faldy jej potrącił!...

Prawdopodobnie zabobonny umysł Janczewskiej a rozdrażniony Jadwigi, skrzyp wysychającej podłogi wziął za stapanie czyjeś. Nocą dają się słyszeć szelesty jakieś i szmery, których w dzień oko ludzkie nie chwytą.

Panna Jadwiga blada była, choć rozum jej kazał nie wierzyć strachowi, choć wiedziała dobrze, że rozstrojone nerwy mogą wywołać złudzenie słuchowe.

— Upiór! upiór! — szeptała Janczewska, stawiając lampkę na ziemi—

— Bóg wie czem mnie i siebie straszysz,—odezwała się Jadwiga.—Wiatr zaszumiał, podłoga skrzypnęła, brzeg serwety trąciłaś może sama.

— A oczy?—spytała piastunka—

— Złudzenie także!...

— O, co tyczy się oczu, to nie, moja Jadziuniu,—upewniła Janczewska.

— Dla czegożes nie wybiegła przed dom? przekonalabyś się wtedy, że nikogo nie było.

— Właśnie, że wybiegła!...

Jadwiga wpatrzyła się w mówiącą—

— Ale nie wybiegła sama.—dodała Janczewska.—Duchem skoczyłam do kuchni, szkaplerz do lewej ręki, łopatę do prawej wzięłam i na dziedziniec wyskoczyłam zaraz.

— I co?—spytała Jadwiga—

— Nie widziałaby może ja nic, bo noc była ciemna, choć oko wykół—ale właśnie białenki śnieg ziemię przypruszył i rozjaśniło się trochę. Idę pod ścianą, Jadziuniu, pomaleńku głowę wysuwam i patrzę. Stoi!...

— Kto taki?

— Albo ja wiem kto taki—ale stoi i rozżarzonemi oczyma w okno patrzy—

— Człowiek?

— Może człowiek, a może duch, upiór—czy ja wiem! O dwa kroki od okna stał, pochyłony, ot tak—a płomyki strzelały mu z oczu, jak by na coś niemilego dla siebie patrzył... Ja naprzód wysunęła szkaplerze a łopatę przed siebie

wzięła i idę. Musi być gdzieś potrąciłam gałązkę, bo szelest zrobił się, upiór może zauważył i cofać się zaczął.

— Podbiegłaś?

— E—nie!... ale widziałam wyraźnie, jak plot się usunął i zniknął!...

Jadwiga podniosła się szybko—

— Mówiłaś Marciu, że upadł śnieg, brama zamknięta, nikt nie wchodził, ślad stóp więc tego upiora być musi—

— A jużci prawda!

— Biegnij do kuchni, weź latarnię oszkloną i czekaj tam na mnie.

Po chwili Jadwiga i Janczewska, otulone w chustki i kapturki na głowie, bocznymi drzwiami mieszkania na dziedziniec wyszły i przytulone do siebie, ku ziemi pochylone, szukały śladów tajemniczych. Rzeczywiście, niedaleko od okna salonowego, na miękkim puchu niedawno upadłego śniegu, widoczne były ślady stóp męzkich. Na parę kroków od okna stopy zwrócone były palcami ku domowi, a widać długo ktoś stać musiał, stać nieruchomie, bo stopy wgrzęzły głęboko w rozmokłą przez deszcz ziemię. Dalej ślady przybrały inny kierunek—znac było szybkie zwrócenie się na miejscu i piętna stóp obutych w kamasze niewielkie i zgrabne, idące do plotu. Tu wszelki ślad zniknął. Widocznie upiór Janczewskiej przez plot skoczył i znikł na zakręcie ulicy.

— A co? Jadziuniu,—pytała Janczewska, gdy do sypialnego pokoju wróciły.

— Mówiłaś prawdę—ktoś był, ktoś patrzeć musiał, ale kto?

— Nieczysta siła, Jadziuniu—i już.

— Ktoś był, ktoś patrzył,—powtórzyła Jadwiga.

Nagle odwróciła się do piastunki.

— Dobra noc ci, Marciu!—rzekła—

— Może zakolysać ciebie?

— Bajką o upiorach?

Wstrząsnęła się.

— Nie—nie chcę... Jestem okrutnie znużona, zasnę szybko.

Sen jednak nie przychodził.

Raz wraz zdawało się Jadwidze, że słyszy kroki czyjeś w przyległym salonie, bała się otworzyć powieki, by oczu czyichś nie zobaczyć nad sobą, prześladował ją szept cichy bardzo, który natrętnie powtarzał:

— Kiedys—kiedys!...

Wtedy pamięcią przywoływała Gustawa, wymawiała imię jego na głos prawie, aż wszystkich głosy i szmery, wywoływane i mimowolne widzenia mieszały się w splot jeden; postać Gustawa cień Pawła przykrywał, nie mogła już ich rysów odróżnić i usnęła snem cichym, który wzbudzonym myślom ukojenie przyniósł a sercu spokój.

Obudziła się zdrówka i rzeźwa, a gdy Janczewska weszła do pokoju panny, powitała ją uśmiechem głośnym, obsypując staruszkę uściskami serdecznymi.

— A cóż twój upiór w kamaszach? — spytała.

— Oj, było coś, Jadziuniu—było!...—ruszając głową odpowiedziała Janczewska.

— Tak, tak—Marciu! Było nawet to, o czym ty nie wiesz, a co mnie na chwilę napelniło strachem i smutkiem.

Westchnienie pierś poruszyło—

— Ale już wszystko minęło,—dodała swobodnie,—bo minąć musiało... musiało—

Zamyśliła się chwilę—

— Zgrzeszyłam, kochanku mój,—szepnęła, biorąc do rąk fotografię Gustawa.—Bóg wie co głupiemu sercu się zachciało, Bóg wie słowa jakie szepnął mi do ucha zły anioł-kusiciel!...

Rumieńce oblały jej twarz—

— No, panno Jadwigo! — zawołała wesolo,—do roboty bierz się, do pracy—duszę hartuj i serce, bo niebezpieczny masz czar odurzania ludzi i sama w pułapkę wpaść możesz...

Do ust przycisnęła portret ukochanego.

— Nie bój się—nie zapomnę o tobie, nie zdradzę ciebie!—szeptała— — — Wracaj tylko, bo lata szybko płyną, młodość ostatnie skrzydła rozwija do lotu, serce chce kochać, usta chcą całować, ramiona tulić!...

Mówiła tak, idąc za poszeptem mocno bijącego serca, za głosem krwi, który rumieńce na twarzy jej rzucał, za szmerami jakimiś, przepelniającymi jej ciało dziewczęce.

— Jadziuniu! — odezwała się Janczewska —
— A! ty tu jesteś!

— List z pocztą, — z figlarnym uśmiechem rzekła Marcia.

Jadwiga podbiegła —

— Gustaw! — krzyknęła.

Drżącymi palcami rozerwała kopertę, list wydobyla i czytać zaczęła. Usta drżały, choć uśmiech błogi na nich igrał, pierś falowała szybko, a z oczu, jak sznurek pereł przezroczystych, płynęły łzy. Ucałowała list kochanka, lecz łez utulić nie mogła; Marcie płacz ten nie trwożył, bo wiedziała, że radością był wywołany.

— Od Gucia? — spytała. — Prawda, że od Gucia?

— Tak — tak!... Pamięta — kocha — tęskni i pyta: „czy kocham, tęsknię i pamiętam?“

— Ale kiedyż już powróci ten twój Gucio? — spytała zniechęciła Marcia —

— „Wiem, że na wigilię — pisze. Może na drugą, może na trzecią. Na trzecią na pewno z wami już będę, ale gdy siadać będziecie niebawem do stołu, zostawcie miejsce i dla mnie, i nakrycie połóżcie na stole, ty miejsce to myślami swoimi wypełnij — a lżej mi będzie, wiedząc o tem...“ Pamiętaj, Marcu, — zwróciła się do Janczewskiej, — ażeby odtąd przy stole wigilijnym było sześć nakryć. Dla rodziców, dla mnie, dla Oleś, dla ciebie i dla pana Gustawa —

Janczewska westchnęła i wyszła z pokoju Jadwigi, która z wiadomością o Gustawie do rodziców pobiegła.

Sen był pogrążający, teraz list Gustawa jak napój wzmacniający oddziałwał. To wszystko, co było wczora, zdawało się snem tylko, majaczeniem myśli rozgorączkowanej. Zdawało się dzisiaj Jadwidze, że źle zrozumiała słowa Pawła, że przypisywała im wartość, jakiej nie miały wcale. Żniwna była na siebie za to chwilowe szalbierstwo serca, za bunt zmysłów, które ją z równowagi wytrąciły.

Sliczna — jak szczęście, wesoła — jak ptak na swobodę wypuszczony z klatki, wybiegła na miasto, spiesząc do zwykłych zajęć swoich. Ze znajomych spotkała pierwszego Pawła. Powitała go śmiechem wesołym i zatrzymała się na chwilę, na parę słów rozmowy. Rzutkiewicz uszczęśliwiło to nieoczekiwane powitanie; nie noc bezsenne przepędził, wyszedł smutny, nie wiedząc sam dokąd idzie i po co idzie. Lękał się, czy zbyt śmiało słowami nie obraził Jadwigi, teraz ją spotyka, bez najmniejszej chmurki niechęci czy gniewu na czole, uśmiechniętą, wesołą i tak bosko piękną! Miał ją powitać ukłonem pełnym szacunku i przejść — zatrzymała go pierwsza. Przyjaźnie wyciągnęła rękę — „dzień dobry“, powiedziała mu pierwsza.

— Dzień dobry, — odpowiedział.

— Brr! — wstrząsnęła się. — Do Świętego Mikolaja parę tygodni jeszcze mamy a śnieg ziemi już pokrył i mróz ją wziął w swoje uściski.

— Dokąd pani idzie? — zapytał Paweł.

— Na lekcje muzyki. Mam dwie godziny z dwoma dziewczętkami u Stalskich.

— Pozwoli pani, bym przeszedł się z nią kroków parę.

— Rzeczywiście: tylko kroków parę, — zaśmiała się Jadwiga, — bo stoimy przed domem państwa Stalskich...

— A prawda! — odpowiedział Paweł.

— Miło mi jest z panem rozmawiać — ale...

Skloniła się i wbiegła do bramy.

Pan Paweł przeszedł się parę razy wzdłuż i wszerz po chodniku, raz i drugi rzucił oczyma na okna mieszkania Stalskich — i poszedł dalej, bezmyślnie kroki kierując przed siebie.

Z chwilą otrzymania listu od Gustawa, nowa energia wstąpiła w pannę Jadwigę. Godziny spędzane z uczenicami, były prawdziwym lekarstwem przeciw tęsknocie, która w chwilach wolnych samowładnie nią rządziła. Godzin tych jednak mało było, nie wypełniały dnia całego, a chwile spoczynku leniwie się wlokły, podczas gdy ona chciała nadać im lot jaskółczy. Tę

szybkość dniom, miesiącom i latom daje tylko praca — Jadwiga szukała tej pracy, lecz pod tym względem daremnymi jej wszystkie usiłowania były. Wiedziała, że tam potrzebują nauczycielki do muzyki, tu do języka francuzkiego — udawała się tu i tam, lecz wszędzie jakąś niechęć spostrzegła, coś, czego zrozumieć nie mogła.

Poszła do pani Lareckiej — Larecka przywitała ją bardzo uprzejmie, lecz dowiedziawszy się o przyczynie wizyty panny Jadwigi, wycedziła przez zęby:

— Tak... rzeczywiście szukam nauczycielki do mojej Mani — ale... nie wiem jeszcze. Pomyślę i zawiadomię panią.

Nie zawiadomiła wcale, choć nauczycielki nie znalazła.

Coś podobnego ją spotkało w jednym i drugim domu.

Dla czego?

Zagadki nie mogła rozwikłać.

Niedzieli każdej przychodzili do państwa Sośnickich goście. Laminowski pierwszy się zjawiał, później Kamenczy w towarzystwie Rzutkiewiczowej i Pawła, później Fokiewicz, w końcu Oleś z panną Heleną. Laminowski ostatnim razem przyniósł bukiet storczyków, Fokiewicz pudełko fig suszonych. Opuszczali goście salon państwa Sośnickich, ale najpóźniej wychodził Oleś z Pawłem, z czego mocno niezadowolona była panna Marya Kamencka.

— Heleno, — raz odezwała się do siostry, — pan Paweł coraz rzadziej bywa u nas.

— Źle się bierzesz, — odpowiedziała Helena.

— Czy czasem go też sobie nie ciągnie Jadwiga?

— Każdej wolno ciągnąć, — padła odpowiedź.

— Lecz od przyjaciółki mogłam czego innego się spodziewać?

— Nie ma przyjaciółek, gdy chodzi o wasy, — odpowiedziała, jak grzmot Helena.

— Lecz jeśli pan Paweł do Jadwigi się przychyli?... —

— Cierp! — odparła krótko malarka.

Marynia cierpieć nie chciała — iskra tylko zazdrości czy zawiści jakiejs zlatiła się w jej sercu —

Zima ustaliła się na dobre, śnieg pokrył dachy i ulice, brylantami lśniły się ogrody gęstym srokiem okryte, mrozy dochodziły do dwudziestu stopni Reaumura.

Odsetek od kapitału, jaki mieli Sośniccy, razem z pieniędzmi zarabianymi przez pannę Jadwigę, zaledwie wystarczał na bardzo skromne utrzymanie. Musieli kulić się, oszczędzać, bo grosz grosza gonił i nie zawsze dogonił.

Pan Aleksander bywał u rodziców raz na tydzień w dniu przyjęć; jeżeli innym razem wpadł do nich, to tak jak po ogień, miał tysiąc interesów na głowie, sprawy jakiejś wagi niezmiernej, zdawało się, że byt całego społeczeństwa na jego barkach spoczywał. Ani matki ani siostry nie zapytał, czy im czego nie brak czasem, choć ręce zacierał od zimna, gdy dłużej przesiedział w pokoju Jadzi, choć szarą polewkę zobaczył czasem na stole i to w dzień świąteczny.

— Jakże tam tobie? — spytał raz Sośnicki syna, spotkawszy go na ulicy.

— Idzie, — odpowiedział pan Aleksander.

— Czy nie mógłbyś, Olesiu, pożyczyć mi dwadzieścia pięć rubli? — spytał nieśmiało pan Mateusz...

Aleksander skrzywił się trochę —

— A kiedy ojciec odda? — zapytał.

Teraz się skrzywił pan Mateusz.

— Widzisz... chciałbym futerko matce przerobić, dać nowe pokrycie, może kołnierz inny, bo ten już...

— Ależ dobrze! kiedy mi tylko ojciec odda — pytam?

— Czy ja wiem!

— Wy nic nigdy nie wiecie, — mruknął pod nosem Aleksander.

Wyjął z portmonetki pieniądze i wręczając ojcu, odezwał się:

— Tylko to dla mamy, ojciec — nie do handlu z Laminowskim...

— Nie potrzebuję! — rzekł obrażony Sośnicki.

— E, proszę ojca fantazyi tu mi żadnych nie pokazywać a brać kiedy daję!...

— Nie — nie chcę, nie chcę! — cofał się zaczerwieniony Sośnicki.

— Cóż to znów za fanaberye? — rzucił pan Aleksander.

— Oddać nie mogę! — rzekł ojciec.

— Po cóż ojciec z pożyczką wylaź?

Sośnicki się odwrócił i poszedł.

— A! niedorajdy! — szepnął pan Aleksander, chowając pieniądze napowrót.

Był w pięknym, ciepłym skunksowym futrze, pan Mateusz miał lisiurę wytartą i kulił się od zimna —

Jadwiga widziała lisiurkę ojca, wyszarżane futro matki, z zarobków swoich odłożyła rubli dziesięć dla pani Marty, ale tego mało było. Zajęcia nauczycielskie kończyły się na dwóch godzinach muzyki u Stalskich, dwóch godzinnych lekcjach u Fokiewicza i jednej godzinie u Dudkowskiego, która czasem do późnego wieczora się przeciągnęła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SMYCZEK.

BALLADA.

(Ch. Cros.).

Prześliczne blond miała włosy,
Które jej do stóp spadały,
Płowe, jak sierpniowe kłosy.

Miała głos dziwny... uroczy,
Wieszczki anioła... zielone
Z czarną rzęsą miała oczy.

On się nie bał przeciwnika,
Gdy porwawszy ją na konia,
Przez góry, błonia pomyka —

Bo dla wszystkich co ją czcili,
Dumny uśmiech tylko miała,
Aż po dzień, gdy go ujrzała...

Miłość w niewolę ją wzięła...
I z serca jej krew wypila,
I gwiazdy żrenic zgasiła...

Ostatnie słowa jej były:
Graj smyczkiem z moich warkoczy
Twym ukochanym, mój miły...

I w pocałunku skonała...
On sporządził smyczek złoty
Z łubej splotów, jak kazała...

Dreszcze rozkoszy wstrząsały
Dusze tych, co go słuchali,
Bo jej pieśni w skrzypcach brzmiały.

Król obsypał go łaskami,
On królowej czarnowłosej
Porwał duszę melodyami...

Lecz gdy skrzypce brał do ręki,
Na jej rozkaz rzewnej skargi
Z pod smyczka płynęły dźwięki.

Jednej nocy księżycowej
Gdy grał u nóg swej królowej,
Smyczek wydał jęk grobowy...

I żalobnej pieśni nuta
Bliski zgon im zwiastowała...
Zmarła dar swój odebrała...

Odebrała swe blond włosy,
Które jej do stóp spadały,
Płowe, jak sierpniowe kłosy....

Marceli Strzemińczyk.

LIST Z PODRÓŻY.

Mölle-Kullen we Wrzesntu.

Przez tydzień pobytu w Warnemünde, niejednokrotnie miałem sposobność do filozoficznych rozmyślań nad ludnością tutejszą, która posiada szczególne zamiłowanie do ścisłego przestrzegania hierarchiczno-społecznych stopniowań.

Miedzy arystokratą, a mieszczańcem—wyznawcą religii chrześcijańskiej a izraelitą,—radcą rzeczywiście i nie rzeczywiście,—wreszcie między kawalerem jednego i tego samego orderu z liściem albo bez liścia, istnieją pewne granice, które, nawiasem mówiąc, przypominają mi słynny hiszpański ceremonial. Spostrzeżenie moje oceni najlepiej ten, kto podobnie jak i ja, przybywa tu wprost z Francji,—owej liberalnej, demokratycznej Francji, gdzie z każdego niemal zakątka wyzieraają słowa: „liberté, égalité, fraternité.“

W Kopenhadze pogoda nie była na mnie zbyt łaskawą. Pawilon na „Długiej Linii,“ owem przepięknym, licznie przez mieszkańców nawiedzanym miejscu spacerów, świecił pustkami. Spotkałem w nim zaledwie kilka mniej lub więcej doletnich panien, zajętych spożywaniem ciastek z bitą śmietaną. Nie ja pierwszy z pomiędzy podróżników, częściej odwiedzających Kopenhagę, uczyniłem spostrzeżenie, iż dzielnica Ostergade z roku na rok, coraz bardziej poczyną się zaciesniać.

Obrazy staro-duńskiej szkoły, które w zamku Charlottenburgskim wśród nieco mrocznych, uroczych komnat tworzyły całość, doskonale licującą z otoczeniem, przeniesione dzisiaj do jasnych i przestronnych salonów nowego Muzeum Narodowego, wydają się jakby nie na miejscu.

W hotelu angielskim spotkałem Ludwika Fulde, który wraz z młodą swą małżonką powrócił właśnie z przepysznej wycieczki na północ. Szczęśliwcy! widzieli Szpicberg, północne słońce i starego Ibsena.

Syci widoków i wzruszeń, dają obecnie do Skodsborgu, by tam, pośród natury i wspaniałych bukowych lasów utrwalić sobie w pamięci wrażenia chwil świeżo przeżytych.

Do pełnego kielicha uciechy domieszała się przecież kropla goryczy.

Oto stary druh i mistrz Fuldy, Jerzy Brandes, dotknięty chorobą, przebywa w Havnegade od 4 miesięcy smutną koniecznością przykuty do łoża boleści.

Lekarze zalecają mu bezwzględny spokój,—ruch, choćby najmniejszy grozi niebezpieczną recydywą. Człowiek to silnego ducha, ból, cierpienia nie zdołały wycisnąć na nim swego piętna.

Ciało chore, ale słowa tryskają zwykłym życiem i brzmia tak ciepło, jasno i serdecznie jak za danych, dobrych czasów. Szwedzi i Norwegowie, mężczyźni i kobiety różnych także innych narodowości śpieszą odwiedzić chorego,—„obejrzyć zwierzę,“ jak ze śmiechem powiada Brandes. Cisną się tu po większej części ciekawo podróżnicy z Baedekerem w rękę, nieliczny zastęp braci literackiej i północnej cyganerii artystycznej. Brak tam jednak przedstawicieli Skandynawii, owej Skandynawii, dla której

Brandes umiał wcielić w szkice całą prawie rewolucję, dla której budował nowe tory i drogę oświecał i świat na oścież otworzył.

To samo da się powiedzieć o współziomkach chorego, duńczykach, zapominając, że Brandes w jednym słowie przyniósł im więcej dobrego aniżeli siedmdziesiąt siedm najslawniejszych ministerów.

Łóżko chorego przysunięte jest do biurka, na którym piętrzą się książki, manuskrypty i gazety. Przez okna pokoju, widać wijący się srebrną nicią kanał, wiodący do przystani, a po nim sunące bezustanku okręty, dążące do obcych, dalekich krain,—parowce płynące ku północy,—dwumasztowe statki śpieszące do Anglii, Niemiec i Hollandyi.

Ten, który dzisiaj na łożu boleści spoczywa, rzec może śmiało, z ręką na sercu, że ów ruch, owo życie wróce tam wdali, własnymi stworzył siłami. On to wyprowadził w świat szeroki tysiące okrętów, które dziś przesuwały się obojętnie pod oknami pracowni, z której zawsze jaśniało tyle żywego światła, pogodnych i wzniosłych uczuć, tyle siły i szlachetnej inicjatywy.

*

*

*

Wyruszywszy koleją z Kopenhagi do Helsingörü, dalej statkiem do szwedzkiego Helsingborga, ztamtąd ponownie koleją, przez Kattarp do Högenäs, po dodatkowej półgodzinnej podróży końmi na nieznośnym, niewygodnym wózku, dotarłem wreszcie do Mölle-Kullen.

Mały, wązki półwysep na południowo-zachodnim brzegu Skandynawii, na mapach geograficznych nosi niesłusznie miano „Högenäs.“

Szwedzi zowią go „Skaane,“ dalszą zaś część półwyspu, najdalej wrzynającą się w morze—„Kullen.“ Ta część ostatnia przedstawia miejscowość o falowatym silnie grancie z wyniosłościami dochodzącymi do 650 stóp wysokości; zasnianą gęsto sosnowym lasem. W miejscu, gdzie poczyną się „Kullen“ nad samym brzegiem zatoki morskiej, widnieją maleńki punkcik—to—„Mölle.“ Najprzedniejsza dzielnica Mölle tworzy płaski, niezabrukowany czworobok, na którym, podczas sloty, gliniasty grunt przeradza się w jedną olbrzymią masę błota, poprzerzynaną tu i owdzie drobnymi strumieniami wody. Ztąd rozciąga się otwarta perspektywa na morze. Z prawej i lewej strony czworoboku wzniesiono po jednym „hotelu,“ czyli, jak kto woli, „pensjonacie.“ Jeden z nich cieszy się stale względami duńczyków, drugi zaś przeważnie nawiedzany bywa przez szwedów. Ludzie oszczędni lokują się w domach prywatnych, co o wiele taniej wypada. Na środku placu, pomiędzy hotelami, stoi wysoki maszt z chorągwią, a wokoło niego cztery ławki. Rano i wieczorem, w południe i po południu przesiadują tu stali mieszkańcy Mölle. Z plecami zgiętymi w kabłąk, z nieodstępną fajką w ustach, czekają na gości, któremu przyjdzie ochota użyć morskiej przejażdżki. Gratka taka co prawda trafia się nieczęsto, bo kuracyusze tutejsi należą do ludzi oszczędnych. Punkt, o którym mowa nazywa się „gieldą.“

Liczba gości dochodzi zaledwie do kilkudziesięciu; nie potrzebują chyba dodawać, że wszyscy prawie znają się między sobą.

Oto młody śpiewak z Helsingborgu, napełniający nam, co wieczór, uszy tonami Szubertowskich pieśni,—panna Eriksen, która niedawno złożyła z powodzeniem uniwersytecki egzamin, dalej młoda panienka w narodowym szwedzkim kostymie, jakaś dama, rozwódka, malarz z żoną, to są prawie wszystkie wybitniejsze osobistości. Zapomniałem jeszcze o „mecenasiu,“—grubym kupcu zbożowym z „Y-sund.“ Ten ostatni zapewnia wszystkich o wspaniałościach posiadanej przezeń galerii obrazów, małżonka zaś jego opowiada, jakie wszystkim figurom na obrazach ponadawała imiona i jaką w długie zimowe wieczory prowadzi z niemi pogawędkę.

Owo małe gniazdko szwedzkie,—petit trou pas cher, jakby powiedział Paryżanin, przedstawia prawdziwie artystyczny zakątek. Skromne

i ciche nie zdążyło jeszcze wejść w modę, dzięki czemu człowiek żyje tu zdala od uciech i zgiełku wielkiego świata.

Listy doręcza nam pocztowy listonosz wspólnicy,—o gazetach i nowinach ze świata ani słychu. Jakże nieraz cudownem jest uczucie nieświadomości!

Zda mi się, że nie masz drugiego zakątka na świecie, w którym łączyło by się tyle kontrastów, tyle różnorodnych obrazów, jeden od drugiego piękniejszych, jak tu, w cichem uroczym Mölle.

Po obu stronach półwyspu rysują się skaliste zatoki, nad które piękniejszych, bardziej malowniczych nie znajdzie w całej Norwegii. Okalają je po brzegach granitowe ściany wspaniałe i potężne, od wiatru i morza mieniące się różnymi barwami, porośłe mchem szarym i żółtym kwieciami, wybijającym na tle zielonych porostów. Wysoko, na szczytach, szumią olbrzymie dęby i jesiony, groźnie wstrząsając koronami; jedna tylko sosna wymyka się z namiętnego uścisku wiatru, który czasem głęboko przenika w tę czarowaną, leśną krainę. U granitowego podnóża wychylają się z wody fantastyczne kształty skalistych potworów—jedne zakończone ostro, drugie, rzekłbyś, nożem ucięte.

W głębi półwyspu czekają nas równie wspaniałe widoki.

Na południowym brzegu rozsiadło się potężne państwo dębów, które w walce z burzliwymi wichrami wyrosły na olbrzymich ku ziemi przygietych i mchem porośłych cyklopach. Każdy sęk, każda niemal dziwnych kształtów gałązka, noszą ślady nieustającej walki o istnienie. Nieco dalej, ku środkowi półwyspu, odeinają się miękką linią bogate w roślinność wzgórza, lśniące zielonością doliny i ławy złocistym pokryte zbożem. Gdy wraz z zachodem słońca przejrzysta mgła opada na ten cudny krajobraz, łagodne kształty pieczęją nasze oko, a całość zlewa się w szeroką, pełną harmonię.

Każda jednak rzecz ma swoje słabe strony. Gdy chciałem położyć datę na niniejszym liście, okazało się że w całym Mölle nikt jej dokładnie nie pamiętał. „Mecenas“ utrzymywał, że mamy 20-go panna Eriksen, że 21-go, na „gieldzie“ zaś zgadzano się na jedno i na drugie, dowodząc że w rezultacie, nikomu o jeden dzień chodzić nie może. Szczęśliwi ludzie, którzy dni nie rachują.

Z.

PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Sali Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dalszy ciąg).

Wiek XVIII, wiek oświaty, polityki, satyry, wiek klasycyzmu i filozofii francuskiej, nie mógł dać i nie dał nam w poezji żywszego odczucia przyrody. Niektórzy poeci brali w dłonie lirę Pindara i Horacego, pragnąc na niej pieśń potężną zaśpiewać, lecz lira była obca, ręka zastyła, więc odezwały się akordy nienaturalne, nieśczęre, nieharmonijne. Oto co nam śpiewa, choćby tej miary pisarz, co Adam Naruszewicz, zwracając pieśń swą do słońca:

„Duszo istot, po wielkim rozproszonych świecie,
„O ty, prawicy twórczej najdroższy sygnacie!
„Ty, unosząc po niebie swe koła potoczne,
„Piszesz godzinom płochym kresy nieprzeskoczne—

„Przed twym jedzie powozem na koniu udaję
[tym,
„Siejąc perły wilgotne, po trakcie szkarłatnym,
„Srebrnowłosa jutrzeńka...”

Taka epoka w dziejach narodów, jak koniec wieku XVIII u nas, wywołuje w pewnych duszach pragnienie sielanki; pragnienie to jednak sztucznym jest, gdyż bezpośrednio z potrzeb serca nie wypływa. Ludzie pewnych epok cywilizacji cieszą się naturą, jak pijak po bachanalii powietrzem świeżym, lub szklanką wody zimnej. Wyobraźmy sobie upudrowanego zwolennika Woltera, który udaje pasterza z gór sytylijskich; spójrzmy do serca jego, w którym zmysłowość wszystką krew żywą wyssała, gdy chce ono udawać miłość sielską, niewinną; wyobraźmy sobie ludzi, przyzwyczajonych do wygod i zbytków, a opiewających poprzestawianie na małym, na używaniu pierwotnych darów przyrody, — a oto ujrzymy przed sobą ubarwioną w kwiecie sztuczną sielankę wieku XVIII, która zresztą naśladowała sielankopisarstwo francuzkie z epoki pseudo-klasycyzmu. Bywały wprawdzie serca, które biegły pod ożywcze źródła natury, aby wyleczyć się z gryzącej je trucizny. Ale nadaremnie! Przyroda otwiera głębie ducha swojego tym jedynie, którzy ją szczerze umiłować potrafią, a odwraca się od tych, którzy przychodzą do niej z sercem, pełnym mętów życia, i bez ukochania. Trucizna pozostała w sercach i jątrzyła je dalej, ból pozostał bólem nieuleczalnym.

Skoro jednak poeta wziął pióro do ręki, musiał coś stworzyć. Nie znał przyrody, nie znał życia tego ludu, którego ona do piersi swej tuli. Spoglądając więc w pustkę swego serca i wyobraźni, przywołał na pamięć postacie Faunów, Nymf i Dryad, niemi napełnił nasze niby, a nie nasze pola, gaje i lasy. Uczucie, nie płynące bezpośrednio z serca, szukało podniety sztucznej i znajdowało ją w mdłym sentymentalizmie. Sielanka, która uczucie to stworzyła, nie miała nic wspólnego z życiem pasterskim, podobną było raczej do maskarady salonowców, przebrających się za pasterzy dla rozrywki po nudach życia na widowni wielkiego świata. Czyż podobna np. wyobrazić sobie pasterza, nie tylko polskiego, ale i każdej innej narodowości, każdego innego wieku, któryby, jak w Sielance Naruszewicza, przywoływał czułą pieśnią towarzysza swego, pięknego Dafnisa, pociechę swoją, która patrzy na niego i „słodko się uśmiecha. I oto jak wygląda ten sam Dafnis na łonie przyrody wobec wschodzącego słońca:

„Wszystko na jego (to jest słońca) przybycie
[się śmieje:
„Ptak się weseli, ziółko zielenieje,
„Trzody się pasą, idą w pole ludzie,
„Dafnis śpi w budzie.”

Motylkowi każe poeta, aby usiadł na bławatku i przypatrywał się ciekawie swej własnej urodzie; porównywa go też do kontrastu z Baucys, która się muska, stojąc wedle krynicy i „darmo buzię, fałdami pooraną, głodzi.” Nasz zaś parobek polski nie ma nic lepszego do roboty, jak stać w kacie i śmiać się z kokieterii podstarzałej Baucys.

Nie znajdziemy żywego odczucia przyrody w przepełnionej filozofią i pochwałami dla magnata i jego sztucznie upiększonej rezydencji „Zofijówce” Trembeckiego; nie znajdziemy go w nastrojonej na podniosłą nutę muzyki politycznej Książnina; nie szukajmy go tam, gdzie, według słów poety:

„Jest przy pałacu ogródek różany,
„Przyjemne latem dla sylfów ustronie,
„Gdzie rozkosz między kwieciastymi ścianami
„Chłodzi się, pieszcząc, i w zapachach tonie.”

Nie znajdziemy też szczerzej pieśni natury, ani w utworach Niemcewicza, ani w poważnej, pełnej namaszczenia prorockiego „Sybilli” Woroniewicza. Trzeba po nią pobiedz, aż do zapadłego Pokucia, do cichego zakątka ziemi, gdzie, zdala

od wiru życia społecznego i umysłowego wieku, żył czuły poeta serca — Franciszek Karpiński. I tu jednak nie znajdujemy jeszcze głębszego odczucia natury, głębszej nad nią zadumy i rozmarzenia; znajdujemy tylko trochę prostoty, trochę szczerości, a najwięcej czułości.

Poeta pięknie opowiada nam prozą, że „dla serca czulego uśmiecha się przyjemna łąka, niedostępne zasępiły się skały, w gruzach własnych niezdobyte kiedyś zamki dawnej siły i piękności płaczą...” Dla człowieka, który dużo czuł i myślał, widowisko natury otwarte jest, ażeby... samemu sobie zostawiony, w milczeniu rozpamiętywając piękności jej, głośnie mi je potem przez czułe wyrazy czynił. Dla niego zachód słoneczny tę bogatą chmurom przyległym rozdał barwę, księżyc okropnej nocy w cichości panuje i w niezmierzonej gdzieś tam odległości stateczne gwiazdy migocą... Dla niego szumią nawalne wody, porzuciwszy dawne koryta swoje, — płyną swobodnie po fundamentach jeszcze pozostałych miast kiedyś poniszczonych; potężny sroży się wicher i... w puszczy nietkniętą siekierą zakradłszy się, wyniosłe powalił dęby pod którymi przy silnym korzeniu ich drzewka młodociane i kwiat leśny ubity poległ. Dla niego wpośród głębokiej na wiosnę nocy, kiedy całe uciszyło się stworzenie, słówik wyspiewuje, poziomy potem skowronek wschodzące wita słońce, a pobudziwszy naród powietrzny sworne ptaszki śpiewania, ich pewnie miłości zaczęły się piosnki.”

Oto najpiękniejsza u Karpińskiego poezja przyrody, oto pełny przecucia romantyzmu program odtworzenia jej w pieśni. Szkoda tylko, że programu tego poeta nie zdołał w całości wykonać. To jednak, co nam dał Karpiński, wystarcza, aby go nazwać najlepszym swojego czasu śpiewakiem przyrody. Poeta ten żył się z życiem wioski, z dołą ludu, miał serce wrażliwe, stykał się codziennie z naturą, musiał więc głębiej od innych odczuć jej piękności i malowniczość. W utworze pod tytułem „Podróż z Dobiecka na Skalę” daje nam już poeta pewne malowidło krajobrazu, lecz malowidłu temu brak głębszego nastroju.

Poglądu filozoficznego na przyrodę, ani odczucia jej romantycznego Karpiński nie posiadał. Duch poety wzlatował nad światem widomym na skrzydłach uczucia religijnego i widział Boga „na słońcu wschodzącym siedzącego i oglądającego światy niepoliczane.”

W sielankach śpiewaka „Justyny” przeważa nastrój elegijny, a w nastroju tym niekiedy w dość żywej harmonii łączy się z przyrodą serce człowieka. Na skrzydłach wicherów śle poeta skargę miłosną; struny duszy jego dźwięczą harmonijnie z odgłosami, które idą z pól rodzinnych. Ma zaś Karpiński tę zasługę niespożyta, że oczyścił sielankę z naleciałości pseudoklasycyzmu, wyrzucił z niej Muzy, Parki i Dyany z całą mitologią starożytną, uważając je za balast, dla poezji nowoczesnej nie tylko nieużyteczny, ale nawet szkodliwy, bo z duchem i pojęciami narodu i wieku niezgodny, a nadto zaciemniający prawdę i jasność obrazów. Poeta, który tych dekoracji używa, podobny jest, według słów Karpińskiego, do owego malarza, który „nie umiejąc odmalować Wenery piękną, odmalował ją bogato przystrojoną.” Wprowadza natomiast śpiewak nasz do poezji pierwiastek ludowy. Oczywiście ludu spogląda na przyrodę. W „Pieśni mazurskiej,” w „Pieśni dziada Sokalskiego” i w innych utworach, daje sankcję poetyczną wierze ludu w cudowność, w siły nadprzyrodzone, żyjące w naturze.

W ukochaniu życia wiejskiego na łonie przyrody Karpiński zbliża się poniekąd do Jana Rousseau, zbliża się mianowicie w przeciwstawieniu czynnych wrażeń na łonie natury mętom zepsutego życia miast ucywilizowanych, w dążeniu do pierwotnej prostoty życia. Oddala się jednak od poety francuzkiego przez brak uniesień romantycznych, zadumy filozoficznej, które to pierwiastki zastępuje u naszego śpiewaka poglądem praktycznym na dogodności życia wiejskiego, na jego spokój, swobodę i zadowolenie w mierności. Oto jego ideał:

„Jedna wioska do śmierci, jeden dom wygodny,
„Gdziebym jadł nie z wymysłem, ale wstał nie-
[głodny;
„Gdziebym się nie usuwał nikomu do zgonu,
„Swym plugiem zoranego pilnował zagonu;
„Spokojnym będąc na tem, co stan mierny niesie:
„Stałbym sobie na dole, niech kto inny pnie się.”

Pominąwszy „Ziemiaństwo polskie” Kajetana Koźmiana, które opiewa w sposób dydaktyczny pory czasu, podział pracy, żniwa, hodowlę bydła i koni, słowem całe życie wiejskie, winniem zatrzymać się choć na chwilę przed poetą, który odtwarzał obrazy przyrody ojczyznej, rzucając na nie z głębi serca płomienie miłości i przywiązania głębokiego. Brak mu było prawdziwie malowniczego kolorytu, niekiedy przesadzał w barwach jaskrawych — i w wyrażeniu uczuć bywał czasami zbyt napuszonym. Drgało jednak w pieśni jego żywe ukochanie natury i ziemi rodzinnej. Poetą tym był Franciszek Wężyk. Posłuchajmy serdecznej nuty jego pieśni:

„Niech inny, pogardziwszy ojczystą dziedziną,
„Śpiewa, jak Indów rzeki złotym kruszczem
[płyną;
„Niech go zajmą Alb śnieżnych widoki olbrzymie,
[mie,
„Niechaj dawnej wielkości w nowym szuka
[Rzymie;

„Niech na gruzach Palmiry nuci pieśń żaloby,
„Niech głosi panów Nilu równie niebom groby;
„Wyższy cel ducha mego obdarza natchnieniem:
„Ojców ziemię ojczystem chcę uwielbić pieniem.
„A jeśli w obcej ziemi piękna okolica
„Czaruje wdziękiem oczy i duszę zachwyca,
„Jeśli skał lodowatych nęci obraz dziki,
„Jeśli bory posępne, wesole gaiki,
„Jeśli mają zaletę źródła przezroczyście,
„Dla mnie te najpiękniejsze, które są ojczyste.”

Przytoczę jeszcze opis Białan pod Krakowem:

„Tu stalsza piękne niebo rozjaśnia pogoda,
„Tu jest lżejsze powietrze, przezroczysta woda;
„Tu warowne schronienie od słonecznej spieki,
„W cieniu drzew, których pożyć nie zdołały
[wieki.

„Tu Wisła, u stóp góry poważnie płynąca,
„Zwolna nurty wspaniałe o brzegi rozrąca,
„Wyższość miejsca przedmiotom wyższości
[przyczynia:

„Las panuje nad górą, nad lasem świątynia.
„O! poważne Białany, pustynio wspaniała!
„Jakaż twoim pięknościami wyrówna pochwała?
„Kto z czułych, zapędzony do twojej ustroni,
„Słodkim myślom do serca przystępu zabroni!”

Dotychczas więc w poezji polskiej natura nie przemówiła żywszą mową serca i fantazyi. Oko piewców zwracało się zazwyczaj na bujne pole życia społecznego. Jednostka z głębią swej istności duchowej, z tętnami serca żywo bijącego nie przeglądała się jeszcze w fali piękna natury. Niema dotąd prawdziwej liryki, któraby spojrziała okiem duszy w świat zjawisk przyrody i przyłączyła wewnętrzny świat ducha ludzkiego w jedną harmonijną całość z naturą. Najbardziej zaś odwróciła się od przyrody sztuczna poezja pseudoklasycyzmu. Dopiero, gdy Brodziński zaczął nauczać, że wyobraźnia i uczucie poety winny zwrócić się do natury i rodzimych pierwiastków życia; dopiero gdy głosem wielkim zawołał Mickiewicz: „Miej serce i patrzaj w serce” — otworzyły się szeroko wrota duszy ludzkiej na przyjęcie prawdziwej poezji ducha i przyrody. To, co Rousseau głosił odnośnie do całego obszaru życia ludzkiego, a co było drogą powrotu do natury, Brodziński wskazał poezji, mówiąc jej o powrocie na błogosławione macierzyńskie łono przyrody, w odczuciu świata, który nas otacza, i ducha, który w nas żyje.

Zwrót ten wywołało zapoznanie się z romantyzmem niemieckim i angielskim; miał on jednak swoje własne, rodzime pierwiastki. Romantyzm nasz niema podstawy filozoficznej; nie pobiegł też po siły żywotne dla organizmu swe-

go, aż w odległe czasy wieków średnich, w wieki rycerzy i trubadurów, jak to gnieindziej było; zwrócił się natomiast głównie do ożywczego źródła pieśni i wierzeń ludowych, aby stamtąd pierwiastku rodzimego zaczerpnąć; był on też protestem przeciwko zimnej, sztucznej, naśladowniczej poezji pseudo-klasycyzmu; podniósł wreszcie, jak gdzieindziej, królestwo serca i fantazyi po nad panowanie rozsądku zimnego.

W chwili walki u nas romantyzmu z klasycyzmem, Kazimierz Brodziński tworzył poemata i sielanki, z których najlepszą jest sielanka krakowska pod tytułem „Wiesław.” Utwór ten różni się od sielanek wcześniejszej nieco dobytym poczuciem prawdy i natury, którego apostołem był autor. Życie ludu wiejskiego i obraz przyrody zbyt może idealnie są tu przedstawione; to jednak przyznać należy, że poeta wprowadza nas już w świat swojski, w świat, nie przepełniony sztucznymi żywiołami idylli klasycznej. Napotykamy i u niego jeszcze gdzieś niegdzie nienaturalność i sentymentalizm, więcej jednak w formie wysłowienia, niż w treści.

Muza Brodzińskiego nie przejęła się głębszym filozoficznym odczuciem przyrody, jakie widzimy w romantyzmie niemieckim i panteizmie Goethego. Odnosi się ona do natury z uczuciem miłości szczerzej, dziecięcej, pojmując ją i odtwarza nie w tych zjawiskach, które są wspólnie całej ziemi, wszystkim jej krainom, lecz we właściwościach krajobrazu swojskiego. W krajobrazie tym panuje nastrój serdeczny, prosto z duszy śpiewawczej płynący. Posłuchajmy:

„Skrzypią z ról czarnych wracające pługi,
„A cała wioska, jako ogród długi,
„W kwitnących sadach nizkie strzechy kryje,
„Z których dym kręty ku niebu się wije,
„A stary kościół z blaszanymi szczyty
„Po nad wsią błyszczący, lipami zakryty;
„Wieża, z której dzwon o milę donosi,
„Już pogrzeb piątym pokoleniom głosi.”

A dalej krajobrazowi temu daje nastrój „Krzyż pański, pochylony laty... Wokoło wierzba i zielona trawka...”

Brodziński daje przyrodzie serce swoje, daje ciche, a głębokie uczucie miłości i przywiązania. Dalekim jest od wgłębiania się w wewnętrzne życie natury, zachwycę go raczej zewnętrzna jej malowniczość i wprowadza w nastrój uczuciowy. W odtwarzaniu zjawisk przyrody doбира barw miękkich, delikatnych a ciepłych. Natura ma w pieśni tego poety oblicze spokojne, pełne wdzięku i krasy poważnej. W uczuciowości żywioł społeczny nad jednostkowym przeważa. Dla lepszego uwydatnienia tej charakterystyki jeszcze jeden ustęp z pieśni Brodzińskiego przytoczę:

„Na czarnej górze w powalonym lesie
„Widać z modrzewia kościołek ubogi,...
„Z szumem liść suchy wiatr w doliny niesie,
„Wozy wzruszonym pyłem znaczą drogi,
„Ustały w polu za pługiem odgłosy,
„Pomału dążą z pola ciężkie wołki,
„Niosą sieroty uronione kłosy,
„A dzień żegnają jodłowe wierzchołki.
„Chmurki igrając pod tarczą księżycy,
„Przechodnie cienie ścielą na pnie suche;
„Z gór wędrująca kłótniwa krynica
„Z głosem mruczeniem mija pola głuche!”

(Dalszy ciąg nastąpi),

Kronika działalności kobiecej.

— Na wystawie sztuki we Lwowie znajduje się obecnie kilka pięknych prac naszych rodaczek. P. Dulębianka wystawiła bardzo artystycznie wykonany portret posła do rady państwa: D-r Wł. Dulęby, i śliczny obrazek „Trio” przedstawiający dwoje dzieci i kanarka śpiewających razem. Panna Aniela Pająkówna w obrazie „Modlitwa” dała dowody dużej staranności około wykończenia swego płótna, a w „Studium” bardzo udatnie pochwyciła pozę kobiety schyłkowej nad książką. Wogóle takie „Studia” robi p. Pająkówna bardzo ładnie, począwszy niegdyś od główki owego chłopca o czarnych oczach, która zwracała ogólną uwagę na ówczesnej wystawie Lwowskiej. Panna Sikorska dała bardzo dobrze dojrzałe winogrona, panna Jasińska debiutuje obrazkiem przedstawiającym pacholę w średniowiecznym stroju. „Studia” pani Andriolowej i Dąbrowskiej mają zalety tych znanych już artystek na polu rzeźby.

— Ku uczczeniu działalności angielskiej autorki p. Browning wzniesiono pomnik w Kellogg Church. Jest to tablica z napisem: „Na pamiątkę Elżbiety Bawet Browning ur. w Coxhoe Hall. 6 Marca, 1806 r. zm. we Florencji 29 Czerwca 1891 r. Wielka poetka—szlachetna kobieta—oddana Bogu kobieta. Wzniesiono staraniem ogółu 1897.” Piękny to pomnik dla zasłużonej kobiety.

— Panna D-r Zürcher wezwana została przez Menelika Abissynii dla objęcia w Mezopotamii posady doktora. Daleka droga, trudne na miejscu okoliczności i oddalenie nie zraziły odważnej kobiety i po dłuższej, zajmującej podróży stanęła u celu w Ursie, witana na miejscu swej przyszłej działalności z oznakami wielkiego uszanowania i odznaczenia.

— Wschodnie seminarium w Berlinie ma obecnie już jedną uczennicę—kobietę, a jest nią panna Karolina Salmen. Pierwsza ochotniczka studiów wschodnich obrała sobie język Japoński.

— Znakomite dzieła dla dzieci i młodzieży pani Tekli Gumpert wydaje w nowym wydaniu księgarnia pani Wagner Zell. Książki pani Gumpert gorąco polecić można jako prawdziwe arcydzieła w swoim rodzaju.

Z bieżącej chwili.

— „Prawit. Wiest.” ogłasza rozporządzenie wydziału prasy dotyczące udzielenia p. Wiktorowi Czajewskiemu koncesyi na pismo codzienne ilustrowane w Łodzi p. t. *Rozwój* według programu ogólnodziennikarskiego. Prenumerata roczna wynosi 8 rs. z przesyłką rs. 10.

— W tych dniach otwarta została w Petersburgu szkoła dla subjektów księgarskich. Trzyletni kurs nauk obejmuje: język rosyjski, arytmetykę handlową, księgarstwo rosyjskie i fran-

cuzkie, bibliografię rosyjską, rachunkowość, kaligrafie i korespondencją handlową. Liczba słuchaczy na kursie pierwszym ograniczona została do 30.

— Ministerium spraw wewnętrznych zajęło się ma wkrótce sprawą unormowania w drodze ustawodawczej loteryi, urządzanych w miejscach publicznych na cele dobroczynne. Loterie te dostępne są dla najniższych warstw społeczeństwa, które nabierają przez to nawyknięcia do gry hazardowej. Projektowane jest udzielanie o ile możliwości jaknajmniej koncesyi na tego rodzaju loteryę.

— Na wyższe kursa dla kobiet w Petersburgu przyjęto 290 słuchaczek, z których 85 wstąpiło na wydział fizyczno-matematyczny, reszta zaś na historyczno-filologiczny.

— Pisma petersburskie zaprzeczają wiadomości o projektowanym połączeniu telefonicznym Warszawy z Petersburgiem, nadmienając, że projekt taki nie był wcale brany pod uwagę.

— Za inicjatywą p. Jadwigi Golez powstała w swoim czasie projekt założenia w Warszawie kasy pożyczkowo-wkładowej i pomocy naukowej dla fotografów. Obecnie wypracowana już została ustawa dla projektowanej kasy i przedłożoną wkrótce zostanie władzy wyższej do zatwierdzenia.

— Z powodu rozpoczęcia budowy szpitala w folwarku Święto-krzyżskim, urządzona ma być w roku przyszłym nowa linia kolei konnej od dworca wiedeńskiego do rogatki Jerozolimskiej. Nadto projektowana jest w przyszłości w dzielnicy tej jeszcze jedna linia wzdłuż ulicy Koszykowej, od rogatki Jerozolimskiej poza szpitalem do alei Ujazdowskich.

— W gronie obywateli lwowskich powstał projekt wzniesienia na jednym z placów miasta pomnika dla ś. p. Kornela Ujejskiego. Zawiany w tym celu komitet zajął się gorliwie zbieraniem w drodze składek publicznych odpowiedniego funduszu. Odsłonięcie pomnika naznaczone zostało na dzień 19-go września przyszłego roku, t. j. w pierwszą rocznicę zgonu poetę.

— Przed niedawnym czasem umarła w Grazu w Austrii Katarzyna Scheiger, znana ogólnie jako Katarzyna Prato. Pod tem nazwiskiem wydała ona w r. 1858 książkę kucharską, która doczekała się niezwyklej popularności. Pracy wyszło dotąd 26 wydań w 163,000 egzemplarzy.

— Znany śpiewakom, mieszkańcom Warszawy Janowi i Edwardowi Reszkom nadana została Najwyższym rozkazem z dn. 24 września r. b. godność osobistego szlachectwa Państwa Rosyjskiego.

— P. Amfiteatrow wniósł podanie do władzy o koncesję na otwarcie teatru rosyjskiego w Warszawie. Projektodawca domaga się, aby miasto lub skarb dały mu bezpłatnie plac budowy teatru, któryby po 25 latach przeszedł w własność instytucji dającej grunt. Nadto prosi p. Amfiteatrow o udzielenie mu subwencji w wysokości pobieranej przez rządowe teatry warszawskie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołączony jest: arkusz 7 powieści, p. t. *Dla zabicia czasu* Fr. Spielhagena. Przekład Z. S.

Treść: Szczęsna. Sonety.—Pogawędka, przez ??—Kazimierz Gliński. Wrócił Powieść. (dalszy ciąg).—Smyczek Ballada. (Ch. Crows przez Marcelę Strzemięczyka).—List z podróży, przez Z.—Przyroda w poezji, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg).—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: *Dla zabicia czasu*, powieść, Fr. Spielhagena. Przekład Z. S. Arkusz 7.—Przegląd mód. 22 wzorów i robót z opisem. Sekretarza gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Kraków.—Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 8 Октября 1897 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.